

autor

KODU LEONARDA DA VINCI

DAN
BROWN



I
NFERNO



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

DAN
BROWN
| INFERNO

Z języka angielskiego przełożył
Robert J. Szmidt



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tęgo autora

ANIOŁY I DEMONY

ANIOŁY I DEMONY:

SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

KOD LEONARDA DA VINCI

KOD LEONARDA DA VINCI:

SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

CYFROWA TWIERDZA

ZWODNICZY PUNKT

ZAGINIONY SYMBOL

ZAGINIONY SYMBOL:

SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

Podziękowania

Pokorne i szczerze podziękowania zechcą przyjąć:

Jak zwykle na wstępie mój wydawca i bliski przyjaciel, Jason Kaufman, za oddanie i wielki talent... głównie jednak za to, że nie tracił dobrego humoru.

Moja cudowna żona, Blythe, za okazywaną mi podczas procesu twórczego miłość i cierpliwość, nie wspominając już o jej niespotykanym instynkcie i szczeroci w roli pierwszego krytyka.

Moja niestrudzona agentka i zarazem najbardziej zaufana przyjaciółka, Heide Lange, osoba, której ogromne umiejętności i wiedza pozwoliły na przeprowadzenie masy rozmów na najprzeróżniejsze tematy w tylu krajach. Za jej energiczność i zdolności pozostanę dożgonnie wdzięczny.

Cały zespół wydawnictwa Doubleday za entuzjizm, kreatywność i wsparcie dla moich książek, a zwłaszcza: Suzanne Herz (za wszechstronność i profesjonalizm), Bill Thomas, Michael Windsor, Judy Jacoby, Joe Gallagher, Rob Bloom, Nora Reichard, Beth Meister, Maria Carella, Lorraine Hyland, oraz – za niekończące się wsparcie – Sonny Mehta, Tony Chirico, Kathy Trager, Anne Messitte i Markus Dohle. A także wszyscy niesamowici ludzie z działu sprzedaży Random House... Nie macie sobie równych.

Mój rozważny prawnik Michael Rudell za bezbłędne rozeznanie w każdej sprawie, zarówno poważnej, jak i błahej, oraz za okazywaną mi przyjaźń.

Moja niezastąpiona asystentka Susan Morehouse za wdzięk i aktywność; bez niej moje życie pograżyłoby się w chaosie.

Wszyscy przyjaciele z Transworld, w szczególności Bill Scott-Kerr za kreatywność, wsparcie i doping oraz Gail Rebuck, za to, że jest tak znakomitym szefem.

Mój włoski wydawca, Mondadori, a zwłaszcza Ricky Cavallero, Piera Cusani, Giovanni Dutto, Antonio Franchini i Claudia Scheu, oraz mój wydawca w Turcji, Altin Kitaplar, a szczególnie Oya Alpar, Erden Heper i Batu Bozkurt za pomoc w poznaniu miejsc opisywanych w tej książce.

Wszyscy zagraniczni wydawcy za poświęcenie i ciężką pracę.

Leon Romero-Montalvo i Luciano Guglielmi, którzy przeszli samych siebie, zarządzając biurami tłumaczeń w Londynie i Mediolanie.

Niezwykła dr Marta Alvarez Gonzáles, która spędziła z nami mnóstwo czasu we

Florencji, zaznajamiając nas ze sztuką i architekturą tego miasta.

Nieźródlny Maurizio Pimponi, który uczynił wszystko, by wzbogacić naszą podróż po Włoszech.

Wszyscy historycy, przewodnicy i specjaliści, którzy tak chętnie dzielili się ze mną swoją wiedzą we Florencji i w Wenecji, mianowicie: Giovanna Rao i Eugenia Antonucci (Biblioteca Medicea Laurenziana), Serena Pini i jej pracownicy (Palazzo Vecchio), Giovanna Giusti (La Galleria degli Uffizi), Barbara Fedeli (Battistero di San Giovanni i Il Duomo), Ettore Vio i Massimo Bisson (Basilica di San Marco), Giorgio Tagliaferro (Palazzo Ducale), Annalisa Bruni i jej pracownicy (Biblioteca Nazionale Marciana) oraz Isabella di Lenardo, Elizabeth Carroll Consavari i Elena Svalduz, a także wiele innych osób, których nie zdołałem wymienić z imienia i nazwiska na tej wrywkowej liście. Wszystkim wam jestem szczerze zobowiązany.

Rachael Dillon Fried i Stephanie Delman z Sanford J. Greenburger Associates za wszystko, co uczyniły dla mnie w kraju i za jego granicami.

Wyjątkowi naukowcy: dr George Abraham, dr John Treanor i dr Boba Helm, za fachową pomoc.

Moi pierwsi czytelnicy, mianowicie: Greg Brown, Dick i Connie Brown, Rebecca Kaufman, Jerry i Olivia Kaufman oraz John Chaffee.

Znawca Internetu, Alex Cannon, który wspólnie z zespołem Sanborn Media Factory dbał o to, bym zawsze był online.

Judd i Kathy Gregg, którzy udzielili mi schronienia w Green Gables, gdy pisałem ostatnie rozdziały tej powieści.

Natomiast niezmiernie zasoby sieciowe takich instytucji, jak Princeton Dante Project, Digital Dante at Columbia University oraz The World of Dante, okazały się po prostu niezastąpione.

Najmroczniejsze czeluście piekieł
zarezerwowane są dla tych,
którzy zdecydowali się na neutralność
w dobie kryzysu moralnego.

FAKTY:

Wszystkie dzieła sztuki, teksty literackie i naukowe oraz wszelkie odniesienia historyczne zawarte w tej książce są *prawdziwe*. „Konsorcjum” jest faktycznie istniejącą prywatną organizacją, która ma swoje przedstawicielstwa w siedmiu krajach świata. Jej nazwa została jednak zmieniona ze względów prawnych.

Piekło to opisany w *Boskiej komedii* Dantego Alighieri podziemny świat o niespotykanej złożonej strukturze. Zamieszkują je istoty zwane cieniami – bezcielesne dusze uwięzione między życiem a śmiercią.

PROLOG

Jam jest Cieniem.

Przez miasto utrapienia mknę.

Drogą wiodącą w wiekuiste męki.

Pozbawiony tchu gramolę się na brzeg rzeki Arno... potem skręcam w via dei Castellani i ruszam na północ, kuląc się w cieniu murów Galerii Uffizi.

A oni wciąż mnie ścigają.

Odgłos ich kroków jest coraz donośniejszy; teraz, gdy znaleźli już trop, nie odpuszczają.

Ścigają mnie od wielu lat. Przez ich upór musiałem skryć się pod ziemią... zstąpić do czyścica... ryc w gruncie jak odrażający robak.

Jam jest Cieniem.

Wyszedłszy na powierzchnię, zwracam spojrzenie ku północy, lecz nie umiem odnaleźć ścieżki zbawienia... albowiem Apeniny przesłaniają pierwszy blask świtu.

Mijam *palazzo* z krenelażową wieżą i jednowskazówkowym zegarem... przemykam między rzadkimi o tej porze kupcami z piazza San Firenze, nawołującymi ochryple głosami pachnącymi wciąż *lampredotto* i pieczonymi oliwkami. Skręcam przed pałacem Bargello, by ruszyć ku zachodowi i wieży Badia – pod nią uderzam ciężarem całego ciała o kratę z kutego żelaza u podnóża schodów.

Tu zabij w sobie wszelkie wahanie.

Naciskam klamkę i wstępuję w korytarz, z którego nie będzie już powrotu, o czym dobrze wiem. Zmuszam ołowiane stopy do pokonywania kolejnych wąskich stopni... wiodących ku niebu spiralą utkaną z miękkiej marmurowej przędzy, przetartej tu i ówdzie, porowatej.

Z dołu dobiega echo głosów. Uderzają w błagalne tony.

Są tuż za mną, zbliżają się nieustępliwie.

Nie rozumieją tego, co nadejść musi... nie wiedzą, ilem dla nich uczynił!

Cóż za niewdzięczna kraina!

Im wyżej wchodzę, tym wyrazistsze stają się wizje... ciała lubieżnie wijące się w ognistym deszczu, żarłoczne dusze pławiące się w ekskrementach, zdradzieccy łajdacy w lodowatym uścisku Szatana.

Pokonuję ostatnie stopnie i docieram w końcu na szczyt. Tam, chwiejąc się

z wyczerpania, czuję na twarzy wilgotne powietrze poranka. Śpieszę w kierunku muru sięgającego mi do głowy, zerkając w otwory strzelnicze. W dole rozciąga się błogosławione miasto, które uczyniłem mym sanktuarium niedostępnym dla tych, co mnie wygnali.

Znów słyszę głosy, blisko, tuż za plecami.

– To, co uczyniłeś, było szalone!

Szaleństwo rodzi szaleństwo.

– Na litość boską – wołają – powiedz, gdzie to ukryłeś!

Nie uczynię tego, właśnie z powodu boskiej litości!

Stoję teraz, zagnany w kozi róg, przywarłszy do zimnego kamienia, a oni spoglądają głęboko w moje szczere zielone oczy i twarze im ciemnieją. Nie przymilają się już, lecz grożą.

– Chyba wiesz, że mamy swoje sposoby. Potrafimy cię zmusić, abyś powiedział, gdzie to ukryłeś.

Właśnie dlatego wspiąłem się w pół drogi do Nieba.

Odwracam się niespodziewanie, wyciągając ręce ku górze, chwytając palcami wąską półkę. Podciągam się, najpierw na kolana, potem na nogi... stoję, chwiejąc się nad przepaścią. *Poprowadź mnie, Wergiliuszu, nad tą otchłanią.*

Rzucają się za mną, nie wierząc własnym oczom, chcą złapać moje stopy, lecz boją się, że jednym nieostrożnym ruchem strącą mnie w niebyt. Błagają teraz w desperacji, ale ja odwracam się do nich plecami. *Wiem, co muszę uczynić.*

Pode mną, oszalałymi daleko, morze czerwonych dachów pochłania sielski krajobraz niczym ogniste fale, rozświetlając płomieniami ziemię, po której stąpali ongiś giganci... Giotto, Donatello, Brunelleschi, Michał Anioł, Botticelli.

Przesuwam się ku krawędzi.

– Złaź! – wrzeszczą. – Jeszcze nie jest za późno!

Żałości ignoranci! Nie widzicie przyszłości? Nie dostrzegacie wielkości mego dzieła? Konieczności jego stworzenia?

Z jaką radością uczynię to ostateczne poświęcenie... z nim ostatecznie zgaśnie wasza nadzieja na odnalezienie tego, czego tak pożądamie.

Nie zdążycie!

Znajdujący się dziesiątki metrów niżej wyłożony kamieniem plac przyzywa mnie niczym oaza spokoju. Ależ chciałbym opóźnić ten moment... wszakże czas jest jedynym, czego los mi poskąpił.

W ostatnich sekundach znów patrzę na plac w dole i dostrzegam na nim coś, co mnie zaskakuje.

Twoją twarz.

Patrzysz na mnie z cienia. Spojrzenie masz smutne, ale wyczuwam w nim szacunek dla tego, co osiągnąłem. Rozumiesz, że nie pozostawiono mi wyboru. Z miłości do Człowieka muszę chronić swoje dzieło.

Ono wciąż rośnie... czekając... połyskując w krwistych wodach laguny, w której nie przejrzały się gwiazdy.

Odrywam wzrok od twych oczu, by spojrzeć na horyzont. Wysoko nad uciemionym światem zanoszę ostatnie błaganie.

Najdroższy Boże, spraw, aby świat zapamiętał mnie nie jako potwornego grzesznika, lecz szlachetnego zbawcę, którym zaiste jestem. Spraw, aby ludzkość zrozumiała, czym jest dar, który jej zostawiam.

Mój dar jest przyszłością.

Mój dar jest zbawieniem.

Mój dar jest piekłem.

Potem szeptam słowo amen... i czynię ostatni krok, prosto w przepaść.

Rozdział 1

Wspomnienia materializowały się powoli... jak bąbelki powietrza wypływające z mroku bezdennej studni.

Kobieta z twarzą zasłoniętą welonem.

Robert Langdon przyglądał się jej przez koryto rzeki, której spienione wody czerwieniały od krwi. Kobieta stała na przeciwległym brzegu, patrząc na niego, nieruchoma, poważna, z twarzą skrytą za zasłoną welonu. W dłoni trzymała błękitną opaskę, którą wtem uniosła do oczu, oddając cześć morzu ciał spoczywających u jej stóp. Odór śmierci otaczał ich ze wszystkich stron.

Szukaj – wyszeptała – a znajdziesz.

Langdon usłyszał te słowa, jakby przemawiała wewnątrz jego głowy.

– Kim jesteś? – zapytał, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Czas ucieka! – znów wyszeptała. – *Szukaj, a znajdziesz...*

Langdon zrobił krok w kierunku rzeki, spostrzegł jednak, że jej wody są zbyt krwiste i zbyt głębokie, by mógł przedostać się na drugą stronę. Gdy ponownie spojrział ku kobiecie w welonie, liczba ciał u jej stóp uległa zwielokrotnieniu. Były ich tam teraz setki, a nawet tysiące, niektóre jeszcze żywe – wiły się w agonii, konając w niewysłowionej męce... trawione przez ogień, tonące w popiele, pożerające się nawzajem. Słyszał przeraźliwe krzyki cierpienia niosące się nad wodami.

Kobieta ruszyła w jego stronę, wyciągając zgrabne ręce, jakby błagała o pomoc.

– Kim jesteś?! – zawołał po raz drugi.

W odpowiedzi sięgnęła do zasłony i uniosła ją wolno z twarzy. Była uderzająco piękna, lecz i starsza, niż sobie wyobrażał – musiała mieć ponad sześćdziesiąt lat, choć zachowała imponujące posągowe, ponadczasowe rysy. Miała surowe usta, uduchowione oczy i długie srebrzystoszare włosy spływające falistymi kaskadami na ramiona. Z jej szyi zwisał amulet z lazurytu – wąż owinięty wokół laski.

Langdon poczuł, że ją zna... że jej ufa. Ale jak? I dlaczego?

Wskazała na wierzgające nogi ofiary, która została pogrzebana na brzegu głową w dół i tkwiła w ziemi aż do pasa. Blade udo nieszczęśnika nosiło wypisaną mułem literę R.

R? pomyślał niepewnie Langdon. Jak... Robert? Czy to... ja?

Nie znalazł odpowiedzi w twarzy kobiety.

Szukaj, a znajdziesz – powtórzyła.

Wtem jej postać zaczęła emanować białą poświatą... jaśniejącą z każdą chwilą. Ciało jęło mocno wibrować i nagle – do wtóru ryku gromów – eksplodowało rozerwane na tysiące okruchów światła.

Langdon obudził się z krzykiem.

Był sam w jasno oświetlonym pomieszczeniu. W powietrzu unosił się ostry zapach spirytusu medycznego, gdzieś z tyłu stało piszczące cicho urządzenie monitorujące pracę jego serca. Spróbował poruszyć prawą ręką, ale ostry ból zmusił go do pozostania w bezruchu. Spojrzawszy na zgięcie łokcia, zobaczył, że jest podpięty do kroplówki.

Puls mu przyśpieszył, czego widowym dowodem było żywsze pikanie urządzenia.

Gdzie ja jestem? Co się stało?

Łupało go w potylicy. Podniósł ostrożnie lewą rękę, by dotknąć głowy i zlokalizować źródło dolegliwości. Pod zmierzwionymi włosami wymacał twarde krawędzie około tuzina szwów oblepionych zaschniętą już krwią.

Przymknął oczy, próbując przypomnieć sobie wypadek.

Nic. Totalna pustka.

Wyteż pamięć!

Tylko ciemność.

Przybiegł ktoś z personelu, zapewne zaalarmowany piskiem monitora pracy serca. Miał zmierzwioną brodę, sumiaste wąsy i miłe oczy emanujące spod krzaczastych brwi troską oraz spokojem.

– Co się... stało? – wymamrotał Langdon. – Czy ja miałem jakiś wypadek?

Brodacz przyłożył palec do warg, po czym wybiegł na korytarz, wołając kogoś.

Robert obrócił głowę, ale nawet tak niewielki ruch wywołał kolejną falę bólu promieniującego z wnętrza czaszki. Zaczerpnął głęboko tchu i przeczekał ten atak. Potem już o wiele wolniej i ostrożniej zlustrował sterylne otoczenie.

W szpitalnej izolatce stało tylko jedno łóżko. Nie dostrzegł żadnych kwiatów. Żadnych kartek. Zobaczył za to własne ubranie leżące na ladzie. Złożono je starannie i umieszczono w plastikowej torbie. Całe było umazane krwią.

Mój Boże. Musiałem nieźle oberwać...

Po chwili równie wolno obrócił głowę w drugą stronę, aby spojrzeć na okno. Noc. W szybie dostrzegł wyłącznie własne odbicie – jakże obce, blade i wyniszczone, podłączone do jakichś rurek i kabli, otoczone sprzętem medycznym.

Z korytarza doleciały go zbliżające się głosy, skupił więc znów spojrzenie na wnętrzu izolatki. Lekarz wrócił, tym razem w towarzystwie kobiety.

Była po trzydziestce. Miała na sobie niebieski lekarski strój i jasne włosy upięte

w koński ogon, który kołysał się z każdym jej krokiem.

– Jestem doktor Sienna Brooks – przedstawiła się w progu, posyłając Langdonowi uśmiech. – Będę tej nocy pomagala doktorowi Marconiemu.

Robert skinął ostrożnie głową.

Wysoka i smukła doktor Brooks poruszała się zdecydowanym krokiem osoby wysportowanej. Nawet tak ubrana wyglądała elegancko. Pomimo braku makijażu skóra na jej twarzy wydawała się niesamowicie gładka, jeśli nie liczyć niewielkiego pieprzyka tuż nad górną wargą. Spojrzenie jej piwnych oczu było niezwykle przenikliwe, jakby widziała w życiu znacznie więcej niż przeciętny rówieśnik.

– Doktor Marconi nie mówi za dobrze po angielsku – dodała, siadając obok niego – dlatego poprosił mnie, abym pomogła w wypełnieniu pańskiej karty przyjęć. – Obdarzyła go kolejnym uśmiechem.

– Dziękuję – wycharczał.

– Zatem – zaczęła bardziej profesjonalnym tonem – jak się pan nazywa?

Potrzebował chwili na zebranie myśli.

– Robert... Langdon.

Zaświeciła mu latarką w oczy.

– Zawód?

Tę informację przypomniał sobie po jeszcze dłuższej chwili.

– Profesor. Wykładałem historię sztuki... i ikonografię. Na Uniwersytecie Harvarda.

Doktor Brooks opuściła latarkę ze zdumioną miną. Lekarz z krzaczastymi brwiami wyglądał na równie zdziwionego.

– Jest pan... Amerykaninem? – Teraz to Langdon spojrzał na nią zaskoczony. – Ja tylko... – zawahała się. – Nie miał pan przy sobie dokumentów, gdy przywieziono pana wieczorem. Za to był pan ubrany w marynarkę z metką Harris Tweed i półbuty wykonane w hrabstwie Somerset, uznaliśmy więc, że musi pan być Brytyjczykiem.

– Jestem Amerykaninem – zapewnił ją zwięźle, nie tracąc sił na wyjaśnienia dotyczące upodobania do dobrze skrojonych strojów.

– Czy coś pana boli?

– Głowa – odparł Langdon. Rażące światło latarki tylko zwiększało jego cierpienie. Na całe szczęście doktor Brooks włożyła ją ponownie do kieszeni i ujęła go za nadgarstek, by zmierzyć puls.

– Obudził się pan z krzykiem – powiedziała. – Pamięta pan dlaczego?

Robert ponownie ujrzał odrażającą wizję kobiety stojącej pośród morza wijących się ciał.
Szukaj, a znajdziesz.

– Miałem koszmar.

– Jaki?

Langdon opowiedział.

Doktor Brooks z kamienną miną notowała coś na karcie przypiętej do sztywnej podkładki.

– Nie wie pan, co mogło być powodem tej przerażającej wizji?

Robert spróbował wysilić pamięć, lecz skończyło się na pokręceniu głową, choć ta zaprotestowała kolejną falą bólu.

– Dobrze, panie Langdon – rzuciła lekarka, nie przerywając pisania. – Czas na kilka rutynowych pytań. Jaki mamy dzisiaj dzień tygodnia?

Robert zastanawiał się przez chwilę.

– Sobotę. Pamiętam, jak szedłem dzisiaj przez kampus... zmierzając na popołudniowe zajęcia, a potem... To w sumie ostatnia rzecz, jaką pamiętam. Czy ja zemdlałem?

– Dojdziemy i do tego. Wie pan, gdzie jesteśmy?

Langdon podał najbardziej oczywistą nazwę.

– Massachusetts General Hospital?

Doktor Brooks zrobiła jeszcze jedną notatkę.

– Czy jest ktoś, kogo powinniśmy powiadomić? Żona? Dzieci?

– Nie ma nikogo takiego – odparł odruchowo. Zazwyczaj cieszył się samotnością i niezależnością, których dostarczał mu świadomie wybrany stan kawalerski, aczkolwiek w obecnej sytuacji wolałby mieć przy sobie choć jedną znajomą twarz. – Mógłbym się skontaktować z kilkoma kolegami po fachu, ale na razie nie widzę takiej potrzeby.

Doktor Brooks skończyła pisać, a brodac zbliżył się do łóżka. Przyglądziwszy krzaczaste brwi, wyjął z kieszeni niewielki dyktafon i pokazał go lekarce. Ta skinęła głową ze zrozumieniem i znów zwróciła się do pacjenta.

– Panie Langdon, gdy przywieziono pana wieczorem, mamrotał pan bez przerwy kilka słów. – Skinęła w stronę Marconiego, a ten natychmiast nacisnął klawisz na urządzeniu.

Na odtwarzanym nagraniu Robert rozpoznał swój mocno zachrypnięty głos, którym powtarzał te same słowa: *Ve... sorry. Ve... sorry.*

– Moim zdaniem – stwierdziła lekarka – mówi pan w kółko po angielsku: *very sorry*, „bardzo przepraszam”.

Langdon przytaknął, ale wciąż nie miał pojęcia, o co może chodzić.

Doktor Brooks obrzuciła go uważniejszym spojrzeniem.

– Nie wie pan, skąd właśnie te słowa? Czuje się pan winny z jakiegoś powodu?

Gdy Robert sięgnął w mroczne czeluście swojej pamięci, znów ujrzał kobietę w welonie. Stała na brzegu rzeki krwi otoczona zwałami ciał. Odór śmierci powrócił.

Poczuł nagle przemożny strach... nie tylko o siebie... ale o wszystkich. Piszczenie

maszyny monitorującej pracę jego serca przyspieszyło. Napiął mięśnie, próbując usiąść.

Doktor Brooks natychmiast położyła mu dłoń na mostku, zmuszając do przybrania pozycji leżącej. Zerknęła na brodacza, a ten bez słowa podszedł do lady i zaczął coś przygotowywać.

Lekarka pochyliła się nad Robertem, szepcząc:

– Panie Langdon, stany lękowe są czymś normalnym po urazach mózgu. Musi się pan uspokoić i obniżyć tętno. Żadnych gwałtowniejszych ruchów. Żadnych podniet. Proszę leżeć i odpoczywać. Wszystko będzie dobrze. Pamięć wróci, ale to potrwa.

Brodacz podszedł ze strzykawką w dłoni, podał ją doktor Brooks, a ona wstrzyknęła całą zawartość do kroplówki.

– To tylko lekki środek uspokajający, który pozwoli panu na szybsze odprężenie się i przy okazji uśmierzy ból – wyjaśniła. Wstała, by odejść. – Wydobrzeje pan, panie Langdon. Proszę się przespać. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy nacisnąć klawisz znajdujący się na listwie bocznej łóżka.

Zgasła światło i razem z brodaczem opuściła izolatkę.

Leżący w ciemności Robert czuł, jak zaaplikowany mu środek rozplywa się szybko po ciele, wciągając go ponownie w studnię bez dna, z której dopiero zdołał się wydobyć. Walczył z tym, starał się unieść powieki, wpatrzeć w otaczający go mrok. Chciał usiąść, ale ciało miał sztywne, jakby odlano je z cementu.

Zdołał jednak odwrócić głowę i znów spojrzeć w okno. Teraz, po zgaszeniu światła, nie widział już własnego odbicia w szybie, zastąpiła je odległa panorama miasta.

Pomiędzy konturami wież i kopuł dominowała jedna, iście królewska budowla. Imponująca forteca z kamienia z blankami i wysoką na niemal sto metrów wieżą zwieńczoną machikułami.

Langdon raptownie usiadł na łóżku, powodując eksplozję bólu w głowie. Starając się ignorować pulsowanie, skupił wzrok na wieży.

Doskonale znał tę średniowieczną budowlę.

Istniała tylko jedna taka na całym świecie.

Ale od Massachusetts dzieliło ją prawie siedem tysięcy kilometrów.

Na zewnątrz potężnie zbudowana kobieta, kryjąc się w cieniu budynków przy via Torregalli, zsiadła zwinnie z motocykla marki BMW i ruszyła przed siebie krokiem pantery ścigającej upatrzoną zdobycz. Spojrzenie miała czujne. Jej postawione na irokeza włosy sterczały znad podniesionego kołnierza skórzanego kombinezonu. Sprawdziła raz jeszcze pistolet z tłumikiem, po czym spojrzała w okno izolatki Roberta Langdona, w którym właśnie gasło światło.

Wcześniej tego samego wieczoru nie zdołała wypełnić powierzonej jej misji. Jedno zagruchanie gołębicy zmieniło wszystko.

Teraz będzie musiała to naprawić.

Rozdział 2

– Jestem we Florencji?

Robert Langdon nadal czuł ból głowy. Siedział prosto na szpitalnym łóżku, wduszając raz po raz przycisk alarmowy. Pomimo zaaplikowanych niedawno środków uspokajających serce waliło mu w piersi jak oszałałe.

Doktor Brooks, potrząsając kucykiem przy każdym zdecydowanym kroku, wróciła pośpiesznie do izolatki.

– Coś się stało?

Zdezorientowany Langdon pokręcił głową.

– Czy to... Włochy?!

– Mamy postęp – ucieszyła się lekarka. – Wraca panu pamięć.

– Nie wraca. – Robert wskazał na majaczącą w oddali budowlę. – Rozpoznałem Palazzo Vecchio.

Doktor Brooks zapaliła ponownie światło i panorama Florencji zniknęła. Kobieta podeszła do łóżka, przemawiając zniżonym głosem.

– Nie ma powodów do obaw, panie Langdon. Doświadcza pan objawów łagodnej amnezji, niemniej doktor Marconi zapewnił mnie, że pański mózg funkcjonuje prawidłowo.

Zwabiony sygnałem przycisku alarmowego brodacz także pojawił się w izolatce. Przyglądał się widocznym na monitorze wykresom pracy serca Langdona, gdy jego młodsza koleżanka perorowała po włosku – informując o tym, że Langdon był *agitato*, gdy odkrył, że przebywa we Włoszech.

Agitato? powtórzył w myślach rozszłoszczony Robert. Pobudzony? Raczej zdumiony!

Adrenalina krążąca w jego żyłach walczyła wciąż ze środkami uspokajającymi.

– Co mi się przydarzyło? – spytał. – Jaki mamy dziś dzień?

– Proszę się niczym nie martwić – uspokajała go lekarka. – Właśnie zaczyna się poniedziałek, osiemnasty marca.

Poniedziałek...

Langdon pomimo bólu spróbował sięgnąć myślami do ostatnich wspomnień – czyli chłodu i mroku, w jakich przemierzał kampus Harvardu, idąc na wieczorne sobotnie zajęcia.

To było dwa dni temu?!

Poczuł ukłucie paniki, gdy spróbował przypomnieć sobie, co wydarzyło się na zajęciach i po nich. W głowie miał pustkę. Usłyszał szybsze pikanie maszyny monitorującej pracę jego serca.

Brodaty lekarz podrapał się po brodzie i znów zajął się sprzętem. Doktor Brooks przysiadła obok Langdona.

– Nic panu nie będzie – dodała mu otuchy przyjaznym tonem. – Zdiagnozowaliśmy u pana amnezję wsteczną, co jest bardzo częstą przypadłością przy urazach czaszki. Może pan mieć problemy z przypomnieniem sobie wydarzeń z kilku ostatnich dni, ale z pewnością nie doznał pan żadnego trwałego uszczerbku na zdrowiu... – zamilkła na moment. – Pamięta pan, jak mam na imię? Przedstawiłam się, wchodząc do izolatki.

Langdon zastanawiał się przez chwilę.

– Sienna... Doktor Sienna Brooks.

Uśmiechnęła się.

– Widzi pan? Pamięta pan wszystko jak trzeba.

Roberta potwornie bolała głowa, z jego wzrokiem także było nie najlepiej, widział wszystko jak przez mgłę.

– Co się stało? Jak... jak tutaj trafiłem?

– Teraz powinien pan odpocząć, może potem...

– Jak trafiłem do szpitala? – zapytał stanowczo, a pikanie monitora znów przyśpieszyło.

– Proszę oddychać miarowo – poleciła mu lekarka, wymieniając nerwowe spojrzenia z kolegą po fachu. – Dobrze, już dobrze... powiem panu. – Przybrała poważniejszy ton. – Panie Langdon, trzy godziny temu wtoczył się pan do naszej izby przyjęć z krwawiącą raną na głowie i niemal natychmiast stracił pan przytomność. Nikt nie wiedział, kim pan jest ani skąd pan się tu wziął. Mamrotał pan coś po angielsku, zatem doktor Marconi poprosił mnie o asystowanie. Przyjechałam tutaj z Wielkiej Brytanii na staż podyplomowy.

Langdon poczuł się, jakby trafił do wnętrza obrazu Maxa Ernsta.

Co ja u licha robiłem we Włoszech?

W czerwcu każdego roku przyjeżdżał do tego kraju na konferencję poświęconą sztuce, ale teraz był dopiero marzec.

Środki uspokajające zaczęły nareszcie działać, poczuł, że grawitacja rośnie z każdą sekundą, jakby natura próbowała go wtłoczyć w materac. Zdołał jednak zapanować nad ogarniającym go ośpieniem i podniósł głowę.

Doktor Brooks pochylała się nad nim jak anioł stróż.

– Proszę, panie Langdon – wyszeptała. – Przy urazach czaszki należy zachowywać

szczególną ostrożność, zwłaszcza przez pierwszą dobę. Musi pan odpoczywać, w przeciwnym razie grożą panu poważne powikłania.

Z interkomu dobiegło nagłe szczeknięcie.

– *Dottore Marconi?*

Brodacz nacisnął klawisz umieszczony na ściennym panelu.

– *Si?*

Z głośnika dobiegł potok włoskich słów. Langdon niczego nie zrozumiał, ale zauważył, że oboje lekarze wymieniają zdziwione spojrzenia. A może raczej zaniepokojone?

– *Momento* – odparł Marconi, kończąc rozmowę.

– O co chodzi? – zainteresował się Robert.

Oczy doktor Brooks wydawały się nieco węższe niż przed chwilą.

– To była szpitalna recepcjonistka. Ma pan gościa.

Promień nadziei zaświtał w mroku niepokoju Langdona.

– Świetna wiadomość! Może ta osoba będzie wiedziała, co mi się przydarzyło.

Lekarka nie wyglądała na przekonaną.

– Dziwi mnie ta wizyta. Do niedawna nie znaleźliśmy pańskiego nazwiska, nie zdążyliśmy go jeszcze umieścić w systemie.

Langdon przewyciężył działanie środków uspokajających i niezdarnie poprawił się na łóżku.

– Skoro ta osoba wie, gdzie jestem, powinna także wiedzieć, co mi się przytrafiło!

Doktor Brooks zerknęła na doktora Marconiego, a ten natychmiast pokręcił głową i postukał palcem w szkiełko zegarka. Kobieta spojrzała ponownie na Langdona.

– To oddział intensywnej terapii – wyjaśniła. – Goście nie mają tutaj wstępu przed dziewiątą rano. Doktor Marconi pójdzie sprawdzić, kim jest pański gość i czego chce.

– Dlaczego ani trochę was nie obchodzi, czego ja chcę? – oburzył się Robert.

Doktor Brooks uśmiechnęła się pobłaźliwie, po czym zniżyła głos.

– Nie powiedzieliśmy panu wszystkiego o wydarzeniach minionej nocy... o tym, co się panu przydarzyło. Powinien pan mieć pełną orientację, zanim zacznie pan rozmawiać z osobami postronnymi. Obawiam się jednak, że jest pan jeszcze za słaby, by...

– Pełną orientację? – podchwycił Langdon. – O czym pani mówi? – Z trudem wyprostował plecy. Uwierała go igła kroplówki, a ciało zdawało się ważyć kilkaset kilogramów. – Wiem, że dotarłem do florenckiego szpitala, mamrocząc pod nosem, że jest mi bardzo przykro... – Kolejna myśl zmroziła mu krew w żyłach. – Spowodowałem wypadek samochodowy? – zapytał. – Zraniłem kogoś?

– Nie – odparła lekarka. – Raczej nie.

– Zatem o co chodzi? – wściekał się Robert, wodząc wzrokiem po obojgu lekarzach. –

Mam prawo wiedzieć, co tu się wyrabia!

Po dłuższej chwili milczenia doktor Marconi skinął niechętnie głową, dając koleżance pozwolenie na dalsze wyjaśnienia. Doktor Brooks westchnęła, po czym przysunęła się jeszcze bliżej Langdona.

– Zróbmy tak, ja powiem wszystko, co wiem... a pan wysłucha tego ze spokojem do końca.

Robert kiwnął głową, lekko, ale i to wystarczyło, by poczuł przeszywający ból we wnętrzu czaszki. Zignorował go jednak, nie mogąc doczekać się wyjaśnień.

– Po pierwsze... pańska rana nie powstała wskutek wypadku.

– To chyba dobrze?

– Niezupełnie. Jeśli mam być szczerą, to rana postrzałowa.

Aparatura znowu zaczęła popiskiwać szybciej.

– Co takiego?!

– Kula drasnęła czaszkę, powodując lekkie wstrząśnienie mózgu. To cud, że pan przeżył. Parę centymetrów niżej i... – pokręciła głową.

Langdon spoglądał na nią z niedowierzaniem.

Ktoś mnie postrzelił?

Z holu dobiegły podniesione głosy. Ktoś się tam awanturował. Wyglądało na to, że osoba pragnąca odwiedzić Roberta nie zamierza dłużej czekać. Moment później rozległ się trzask ciężkich drzwi na drugim końcu korytarza, a niedługo potem Langdon dostrzegł sylwetkę zbliżającego się gościa.

Kobieta nosiła czarny skórzany kombinezon. Była dobrze umięśniona, na głowie miała irokeza. Poruszała się z gracją, jakby nie dotykała stopami ziemi, idąc prosto do izolatki Langdona.

Niewiele myśląc, doktor Marconi wypadł za otwarte drzwi i zablokował drogę nieoczekiwanemu gościowi.

– *Ferma!* – rozkazał, wysuwając władczo dłoń, jak robią to policjanci.

Kobieta, nie zwalniając nawet kroku, wyjęła zza pleców pistolet z tłumikiem.

Wymierzyła prosto w pierś doktora Marconiego i nacisnęła spust.

Rozległo się ciche syknięcie.

Robert obserwował z przerażeniem, jak lekarz chwieje się i cofa do wnętrza izolatki, kurczowo trzymając za serce. Jego biały kitel przesiąkał krwią.

Rozdział 3

Siedemdziesięciodwumetrowy luksusowy jacht Mendacium sunął osiem kilometrów od wybrzeży Włoch przez mgiełkę otulającą przed świtem spokojne wody Adriatyku. Jego niewidzialny dla radarów kadłub pomalowano na metalicznie szary kolor, przez co kojarzył się z groźną jednostką wojskową.

Wyceniany na ponad trzysta milionów dolarów statek miał na swoim pokładzie wszystkie wygody – spa, basen, kino, jednoosobowe łodzie podwodne i lądowisko dla helikopterów – ale zbytki te niespecjalnie interesowały właściciela, który pięć lat temu, niemal natychmiast po odebraniu jednostki ze stoczni, kazał ją przekształcić w pływające elektroniczne centrum dowodzenia, niczym nieustępujące wojskowemu odpowiednikom.

W dyspozytorni mającej dostęp do danych z trzech satelitów oraz masy naziemnych przekaźników pracowało ponad dwudziestu ludzi – techników, analityków, koordynatorów – którzy mieszkali na pokładzie jachtu, utrzymując nieprzerwaną łączność z pozostałymi naziemnymi centrami operacyjnymi organizacji.

Za bezpieczeństwo statku odpowiadał mały oddział doskonale wyszkolonych żołnierzy, dwa systemy obrony przeciwrakietowej i cały arsenał najnowocześniejszego uzbrojenia. Załoga – wliczając kucharzy, sprzątaczy i stewardów – liczyła ponad czterdzieści osób. W rzeczywistości Mendacium był pływającym biurowcem, z którego właściciel mógł zarządzać należącym do niego imperium.

Znany swoim podwładnym wyłącznie jako „Zarządca” był karłowatym szczupłym mężczyzną o ciemnej karnacji i głęboko osadzonych oczach. Niezbyt okazały wygląd i bezpośredniość pasowały jednak idealnie do człowieka, który dorobił się wielkiej fortuny na wykonywaniu zadań specjalnych w szarej strefie.

Nazywano go rozmaicie – bezlitosnym najemnikiem, zatwardziałym grzesznikiem, pomiotem diabła – ale żadne z tych określeń nie odzwierciedlało prawdy. Zarządca jedynie umożliwiał swoim klientom spełnienie najskrytszych marzeń i zaspokojenie najgłębszych ambicji, i to bez obaw o konsekwencje. Fakt, że ludzkość była grzeszna z natury, nie stanowił jego problemu.

Wbrew opiniom krytyków oraz ich obiekcjom etycznym kompas moralny Zarządcy wskazywał zawsze ten sam kierunek. Zbudował on swoją reputację – i Konsorcjum przy okazji – na dwu złotych zasadach.

Nigdy nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać.

Nigdy nie okłamuj klienta.

Przenigdy.

W całej swojej dotychczasowej karierze Zarządca nigdy nie złamał danego słowa ani nie renegecował kontraktu. Jego obietnice były objęte gwarancją absolutną – i choć kilkakrotnie żałował przyjęcia tego czy innego kontraktu, nigdy nawet nie pomyślał o zerwaniu umowy.

Tego ranka Zarządca, wyszedłszy na balkonik przylegający do swojej kajuty i spojrzawszy na falujące morze, próbował stłumić targający nim niepokój.

Decyzje podjęte w przeszłości kształtują naszą teraźniejszość.

Dawne decyzje Zarządcy pozwoliły mu na bezpieczne przejście przez niemal wszystkie pola minowe. Dzisiaj jednak, gdy spoglądał na widoczne w oddali światła włoskich miast, nie czuł się zbyt pewnie.

Przed rokiem na pokładzie tego samego jachtu podjął decyzję, która mogła go przywieść do utraty wszystkiego, co stworzył.

Zgodziłem się świadczyć usługi niewłaściwej osobie...

To zobowiązanie doprowadziło z czasem do wielu gwałtownych zawirowań, zmuszając Zarządcę do posłania wszystkich swoich najlepszych ludzi w teren, aby zrobili co w ich mocy i uchronili jego imperium od zatonięcia.

W tej właśnie chwili czekał na meldunek od jednego ze swych agentów.

Vayentha, pomyślał, przywołując w pamięci obraz muskularnej, uczesanej w irokeza specjalistki. Vayentha, aż do teraz służąca mu bez zarzutu, tej nocy popełniła błąd, który mógł mieć poważne konsekwencje. Przez ostatnie sześć godzin miotała się, desperacko próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Powiedziała, że chodziło o zwykłego pecha, że ręka jej drgnęła, gdy usłyszała niespodziewane gruchanie gołębia.

Zarządca nie wierzył jednak w pecha ani w szczęście. Każde działanie kalkulował na zimno, by wykluczyć przypadek. Jego domeną była kontrola – starał się przewidzieć każdą możliwość, uprzedzić każdą reakcję i tak kształtować rzeczywistość, by osiągnąć zamierzony efekt. Mógł się poszczycić pasmem sukcesów i pełną dyskrecją, dzięki czemu z jego usług korzystali najlepsi klienci: miliarderzy, politycy, szejkwowie, a nawet rządy.

Nad horyzontem na wschodzie pojawił się pierwszy, niewyraźny jeszcze blask przedświt, w którym bledły wiszące najniżej gwiazdy. A Zarządca stał na pokładzie swojego jachtu, cierpliwie czekając na raport Vayenthy mówiący o tym, że misja została zakończona zgodnie z planem.

Rozdział 4

Przez moment Langdon miał wrażenie, jakby czas wokół niego zamarł.

Doktor Marconi leżał nieruchomo na ziemi, a krew tryskała z rany na jego piersi. Walcząc z otępieniem spowodowanym wstrzyknięciem środków uspokajających, Robert przeniósł wzrok na uczesaną w irokeza zabójczynię, która wciąż szła korytarzem, pokonując ostatnie kilka metrów dzielących ją od otwartych drzwi. Podchodząc do progu, uniosła broń i wycelowała w jego stronę... prosto w głowę.

Dotarło do niego, że zaraz zginie. Tutaj i teraz.

Huk w tak małym pomieszczeniu był ogłuszający.

Langdon wzdrygnął się, pewien, że został trafiony, ale odgłos nie pochodził z broni napastniczki. Wydały go ciężkie metalowe drzwi, które doktor Brooks zatrzęsnęła z impetem, przekręcając natychmiast klucz.

Lekarka odwróciła się i z przerażeniem w oczach przyklęknęła obok rannego kolegi, by zmierzyć mu puls. Doktor Marconi zakaszłał, na jego wargach pojawiła się zabarwiona na czerwono ślina. Krew ściekała strumyczkami prosto w gęstą brodę. Moment później mężczyzna znieruchomiał.

– *Enrico, no! Ti prego!* – krzyknęła doktor Brooks.

Seria kul zmasakrowała zewnętrzną powierzchnię grubych drzwi. W głębi korytarza rozległy się krzyki.

Langdon zdołał się jakimś cudem poruszyć, panika i instynkt pokonały w końcu działanie środków uspokajających. Gdy staczał się z łóżka, poczuł w prawym przedramieniu palący ból. Przez moment bał się, że jedna z kul przebiła drzwi i sięgnęła jego ciała, ale gdy spojrzał na rękę, zrozumiał, że właśnie wyrwał igłę kroplówki. Z otwartego wenflonu sączyła się ciepła krew.

To go rozbudziło do reszty.

Zapłakana lekarka wciąż próbowała wymacać puls Marconiego. A potem, niespodziewanie, jakby ktoś przełożył dźwignię w jej umyśle, wstała i spojrzała na Roberta. Zobaczył, jak zmienia się wyraz jej twarzy, gdy wraca do roli lekarza izby przyjęć muszącego stawić czoło kryzysowej sytuacji.

– Za mną – rozkazała.

Chwyciła Langdona za rękę i pociągnęła w głąb izolatki. Robert ruszył za nią

chwijnym krokiem, wciąż słysząc dobiegające z korytarza odgłosy strzałów i wrzaski. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, ale naszpikowane lekami ciało reagowało opornie.

Szybciej!

Czuł pod stopami chłód wykafelkowanej podłogi, szpitalna koszula ledwie zakrywała jego mierzące ponad sto osiemdziesiąt centymetrów ciało. Krew w dalszym ciągu sączyła się z wenflonu, zbierając się we wnętrzu dłoni.

Kolejne pociski masakrowały solidną klamkę, gdy doktor Brooks wciskała Langdona do niewielkiej łazienki. Już przestępowała przez próg, gdy nagle obróciła się na pięcie, podbiegła do lady i chwyciła jego marynarkę.

Co ty, kobieto, do cholery wyrabiasz?!

Lekarka wróciła biegiem i szybko zamknęła za sobą drzwi łazienki. W tej samej chwili ostrzeliwany zamek w końcu puścił i wejście stanęło otworem.

Doktor Brooks przejęła inicjatywę, precyzyjnie się do drzwi na przeciwległej ścianie, otworzyła je i wprowadziła Roberta do przyległej izolatki. Przy wtórze kolejnych strzałów wychyliła głowę na korytarz, znów chwyciła pacjenta za ramię i pobiegła z nim w kierunku pobliskiej klatki schodowej. Nagły ruch sprawił, że Langdonowi zakręciło się w głowie; miał wrażenie, że lada moment straci przytomność.

Następne piętnaście sekund pamiętał jak przez mgłę... stopnie prowadzące w dół... potknięcie... upadek. Łomot w głowie stał się nie do wytrzymania. Do tego zaczął gorzej widzieć i musiał zmuszać mięśnie do posłuszeństwa.

Nagle powietrze zrobiło się znacznie zimniejsze.

Jestem na zewnątrz...

Gdy doktor Brooks pociągnęła go w głąb ciemnej alejki, byle dalej od budynku szpitala, nadepnął na coś ostrego i upadł z impetem na twarde płyty chodnika. Próbowiła go podnieść, klnąc pod nosem na fakt, że został tak naszpicywany.

Przy końcu alejki Langdon ponownie upadł. Tym razem zostawiła go na ziemi i wybiegła na ulicę, wołając do kogoś. Robert dostrzegł w oddali zamglone zielone światelka taksówki zaparkowanej przed szpitalem. Wóz ani drgnął, zapewne jego kierowca zapadł w drzemkę. Doktor Brooks wydzieriała się z całych sił, machając przy tym rękami. W końcu zapłonęły reflektory i samochód zaczął się toczyć w ich kierunku.

Gdzieś z głębi alejki, zza pleców Langdona, dobiegł odgłos otwieranych z trzaskiem drzwi i stukot zbliżających się szybko kroków. Robert odwrócił głowę i dostrzegł czarną postać pędzącą w jego stronę. Chciał wstać, jednakże lekarka uprzedziła go, chwytając pod pachy, by wciągnąć do wnętrza starego fiata. Wylądował na poły na fotelu, na poły na podłodze, a ona na oślep zanurkowała za nim, trzaskając drzwiami.

Zaspany taryfiarz odwrócił się, patrząc ze zdumieniem na dziwną parę, która wtoczyła się do jego wozu: ubraną w niebieski lekarski strój młodą kobietę z włosami spiętymi w kucyk i zakrwawionego mężczyznę odzianego w poszarpaną szpitalną koszulę. Boczne lusterko jego taksówki eksplodowało, zanim zdążył otworzyć usta, by kazać im iść precz. Z ciemnej alejki wybiegła ubrana na czarno kobieta z pistoletem w uniesionej dłoni. Gdy rozległ się kolejny strzał, doktor Brooks przycisnęła Langdona do podłogi. Tylne szyby rozpadła się w drobny mak, zasypując ich gradem odłamków.

Taksówkarz nie potrzebował dodatkowej zachęty. Wcisnął pedał gazu i ruszył z kopyta. Robert był bliski omdlenia.

Ktoś próbuje mnie zabić?

Gdy minęli pierwszy zakręt, doktor Brooks podniosła się i chwyciła go za zakrwawioną rękę.

– Wyjrzyj za okno – poleciła.

Usłuchał. W mroku za szybą przemykały widmowe nagrobki. Widok mijanego cmentarza dziwnie pasował do tej chwili. Langdon poczuł, jak lekarka po omacku szuka ostrożnie wenflonu, po czym bez ostrzeżenia wyrywa go z żyły.

Kolejna fala obezwładniającego bólu dotarła prosto do mózgu Roberta. Poczuł, jak oczy uciekają mu w głąb głowy, a potem wszystko utonęło w czerni.

Rozdział 5

Słyszając dzwonek telefonu, Zarządca oderwał wzrok od uspokajającej mgiełki nad Adriatykiem i szybko wrócił do kajuty.

Najwyższa pora, pomyślał złakniony wieści.

Ekran komputera ożył, wyświetlając informację, że osoba dzwoniąca usiłuje się z nim połączyć, korzystając z urządzenia tiger XS, to jest szyfratora transmisji głosowej szwedzkiej firmy Sectra, natomiast samo połączenie przekierowano przez kilka nienamierzalnych routerów.

Chwycił słuchawki.

– Tu Zarządca – zgłosił się, wypowiadając wyraźnie każde słowo. – Słucham.

– Melduje się Vayentha – usłyszał.

Wyczuł zdenerwowanie w jej głosie. Agenci polowi rzadko rozmawiali bezpośrednio z Zarządcą, a jeszcze rzadziej zostawali na jego usługach po takiej wpadce jak ta ubiegłej nocy. On jednak uważał, że tylko agent znajdujący się w terenie może zażegnać kryzys, zwłaszcza gdy jest najlepszy w swoim fachu.

– Mam nowe informacje – doniosła Vayentha. Zarządca milczał, pozwalając jej kontynuować. Gdy odezwała się ponownie, uczyniła to wypranym z emocji głosem, by jej wypowiedź zabrzmiała profesjonalnie. – Langdon uciekł. Ma ze sobą obiekt.

Zarządca zajął miejsce za biurkiem, nic nie mówiąc przez dłuższą chwilę.

– Rozumiem – rzekł w końcu. – Przypuszczam, że przy pierwszej sposobności spróbuje skontaktować się z kimś z władz.

Dwa pokłady niżej, w dyspozytorni, starszy facylitator Laurence Knowlton zauważył, że Zarządca skończył zaszyfrowaną rozmowę. Miał nadzieję, że wieści były dobre. W ciągu ostatnich dwóch dni napięcie szefa wzrosło zauważalnie i nikt na statku nie wątpił, że ma to związek z prowadzoną właśnie operacją.

Gramy o niewyobrażalnie wysoką stawkę, lepiej więc, by Vayentha załatwiła tę sprawę do końca.

Zazwyczaj Knowlton wprowadzał w życie misterne plany Zarządcy, lecz ten konkretny scenariusz poszedł niedawno w rozsypkę, zmuszając szefa do przejęcia osobistego nadzoru nad operacją.

Wkroczyliśmy na nieznane nam terytorium.

Rozsiane na całym świecie biura terenowe Konsorcjum obsługiwały kilka prowadzonych równolegle misji, dzięki czemu Zarządca i jego ludzie z pokładu Mendacium mogli się skupić na swoim zadaniu.

Mimo że ich klient popełnił samobójstwo kilka dni temu we Florencji, nie przzerwali zleconych przez niego operacji, które zgodnie z umową mieli dokończyć bez względu na okoliczności, nie zadając żadnych pytań.

Otrzymałem rozkazy, pomyślał Knowlton gotów do ich bezwarunkowego wykonania. Wszedł z dźwiękoszczelnego szklanego boksu i minął kilka podobnych pomieszczeń – część z nich była przezroczysta, inne nie – gdzie pozostali operatorzy zajmowali się różnymi aspektami tej samej operacji.

Następnie przeszedł przez ciasną sterownię i skinąwszy głową pełniącym wachtę technikom, dostał się do wydzielonego pomieszczenia, w którym znajdowało się kilkanaście skrytek. Otworzył jedną z nich i wyjął zawartość – w tym przypadku jaskrawoczerwony flashpen. Zgodnie z dołączoną fiszką urządzenie zawierało spory plik wideo, który ich klient polecił przesłać czołowym światowym mediom o określonej godzinie nazajutrz rano.

Chociaż nie przewidywano żadnych problemów, protokół Konsorcjum dotyczący wszelkich plików cyfrowych wymagał, aby zostały one przejrane na dobę przed emisją, dzięki czemu fachowcy zyskiwali czas na ich ewentualną deszyfrację, montaż czy też inne przygotowania niezbędne do publikacji o wyznaczonej porze.

Nie zostawiamy niczego przypadkowi, pomyślał Knowlton, po czym wrócił do swojego przezroczystego boksu i zamknął za sobą ciężkie szklane drzwi, odcinając się od świata zewnętrznego.

Nacisnął przełącznik i otaczające go ściany natychmiast zmatowiały. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie boksy zostały skonstruowane ze specjalnego szkła wyprodukowanego w oparciu o technikę SPD zwaną także techniką cząstek zawieszonych. Ich ściany można było bez problemu zmatowić, włączając prąd, dzięki czemu miliony uwięzionych między taflami cząstek ustawiały się w określonym porządku bądź powracały do stanu chaosu.

Stosowanie najnowszej wiedzy było kamieniem węgielnym sukcesu odniesionego przez Konsorcjum. Podobnie jak ścisły podział obowiązków.

Każdy wie tylko tyle, ile musi wiedzieć. I nikomu o niczym nie mówi.

Usadowiwszy się w swoim biurze, Knowlton wsunął flashpen do gniazda komputera i kliknął wyświetlony folder, by rozpocząć pracę.

Ekran natychmiast pociemniał... z głośników dobiegł dźwięk przypominający kapanie

wody. Z czerni powoli wyłaniał się obraz... amorficzny i zaciemiony. Przypominał wnętrze spowitej mrokiem jaskini... gigantycznej komory. Całe dno pokrywała woda, jakby podziemne jezioro. Co ciekawe i dziwne, jej powierzchnia wydawała się lśnić... jakby coś podświetlało ją z głębin.

Knowlton nigdy nie widział czegoś podobnego. Cała jaskinia zarzyła się lekką rdzawą poświatą, po jej ścianach pełzały jaśniejsze refleksy kołyszącej się wody.

Co to za miejsce?

W miarę trwania projekcji obiektyw kamery kierował się w dół, aż przybrał pozycję pionową, aby po chwili zanurzyć się w lśniącej wodzie. Urządzenie sunęło nieprzerwanie, zatrzymało się dopiero metr pod powierzchnią, ukazując zamulone dno jaskini.

Przymocowano do niego prostokątną tabliczkę z błyszczącego tytanu.

Był na niej jakiś napis.

TUTAJ

ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE

Poniżej wygrawerowano nazwisko i datę.

Nazwisko należało do ich klienta.

Data była... jutrzejsza.

Rozdział 6

Langdon czuł, jak unoszą go czyjeś silne ręce... wrywając go z delirium przy wyciąganiu z taksówki. Znów miał pod bosymi stopami zimne płyty chodnika.

Wspierając się na drobniutkim ramieniu doktor Brooks, kroczył chwiejnie pustym przejściem między dwoma apartamentowcami. Poranny wiaterek dał, podwiewając mu szpitalną koszulę, przez co Langdon czuł chłód nawet tam, gdzie nie powinien.

Środki uspokajające zaaplikowane w szpitalu nadal wywierały wpływ na jego umysł i wzrok. Miał wrażenie, że zewsząd otacza go woda, że musi się przedzierać ku przydymionemu blaskowi dnia. Doktor Brooks ciągnęła go naprzód, wspierając z zadziwiającą siłą.

– Uwaga, schody – powiedziała i Langdon nagle zrozumiał, że dotarli do bocznego wejścia do budynku.

Chwycił się poręczy i niezdarnie wdrapał wyżej. Wolno, krok po kroku. Ciało ciążyło mu niesłychanie. Lekarka musiała go popychać. Gdy dotarli na półpiętro, wcisnęła kilka klawiszy na staromodnym pordzewiałym panelu i drzwi obok otworzyły się z cichym brzęczeniem.

W środku nie było wiele cieplej, ale zamiast chłodnego porowatego betonu Robert miał teraz pod stopami coś w rodzaju wykładziny. Lekarka zaciągnęła go do ciasnej windy, otworzywszy uprzednio rozsuwane drzwi. Wcisnęli się oboje do wnętrza niewiele większego od budki telefonicznej. Winda cuchnęła papierosami MS – ich słodko-kwaśna woń była tak popularna we Włoszech jak aromat świeżego espresso. Tym razem jednak ten nieprzyjemny zapach sprawił, że Langdonowi rozjaśniło się w głowie. Doktor Brooks nacisnęła klawisz i gdzieś wysoko nad nimi zachrzęściły mechaniczne koła, wprawiając klatkę w ruch.

Jechali w górę...

Skrzypiąca kabina drżała nieustannie. Ponieważ zbudowano ją z metalowych prętów, Langdon widział umykające ściany szybu. Nawet w takiej sytuacji, pomimo środków uspokajających wciąż krążących w jego krwiobiegu, odezwała się w nim klaustrofobia.

Nie patrz!

Oparł się o ścianę, próbując odzyskać oddech. Przedramię piekło go, a gdy spojrział w dół, zauważył, że oplata je rękaw, służąc za coś w rodzaju opatrunku. Reszta

marynarki wałała się na ziemi.

Przymknął oczy, czując kolejny atak bólu, i znów pochłonęła go ciemność.

Ujrzał znajomą wizję – posągowa postać kobiety w welonie, z amuletem i kaskadami srebrnoszarych włosów jak poprzednio stała na brzegu rzeki krwi, otoczona wijącymi się ciałami. I ponownie odezwała się błagalnym tonem do Langdona.

Szukaj, a znajdziesz!

Roberta przepełniało uczucie, że musi ocalić... ją i ich wszystkich. Tymczasem stopy zakopanych do góry nogami ciał opadały jedna po drugiej.

Kim jesteś?! zawołał bezgłośnie. Czego ode mnie chcesz?

Jej piękne siwe włosy zaczęły falować na gorącym wietrze.

Czas nam się kończy, wyszeptała, tuląc amulet. A potem nagle, bez ostrzeżenia, eksplodowała, zamieniając się w słup ognia, który sięgnął aż za rzekę, pochłaniając ich oboje.

Langdon wrzasnął, otwierając szeroko oczy.

Doktor Brooks przyglądała mu się zaniepokojona.

– Co się stało?

– Mam halucynacje! – wykrzyknął Robert. – Wciąż te same.

– Chodzi o tę siwą kobietę i otaczające ją ciała?

Langdon skinął głową; pot perlił mu się na czole.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła go, mimo iż sama była rozedrgana. – Tego typu wizje są częste przy amnezji. Pański mózg próbuje skatalogować czasowo utracone wspomnienia i dlatego widzi pan wszystko naraz.

– Nie jest to zbyt miły obraz – wystękał.

– Wiem, ale dopóki pan nie wydobrzeje, ostatnie wspomnienia pozostaną zamazane i chaotyczne. Przeszłość, teraźniejszość i wyobrażenia będą się mieszały ze sobą. Tak samo jak w snach.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem i doktor Brooks otworzyła następne rozsuwane drzwi. Znów byli w ruchu, tym razem szli wąskim i ciemnym korytarzem. Minęli okno, za którym widać było majaczące florenckie dachy ledwie się odcinające od szarzejącego właśnie nieba. Na końcu korytarza lekarka przykucnęła, by wyjąć klucz spod usychającej roślinki, i otworzyła nim pobliskie drzwi.

Mieszkanie było niewielkie, panował w nim zaduch – woń palonej niedawno waniliowej świecy walczyła o prymat z zapachem starych dywanów. Umebłowanie i wystrój można było uznać najwyżej za skromne, jakby właścicielka kupiła wszystkie przedmioty na ulicznych wyprzedażach.

Doktor Brooks pomajstrowała przy termostacie i grzejniki natychmiast ożyły. Kobieta

stanęła na moment w bezruchu z zamkniętymi oczyma, oddychając głęboko, jakby próbowała wziąć się w garść. Jednakże prędko się obróciła i wprowadziła Roberta do skromnej wnęki kuchennej, gdzie obok stołu znajdowały się dwa podniszczone krzesła.

Langdon ruszył ku jednemu z nich, mając nadzieję na chwilę odpoczynku, ale Sienna Brooks chwyciła go za dłoń, drugą ręką otwierając w tym samym czasie szafkę. Na pustawych półkach leżały tylko krakersy, kilka paczek makaronu, puszka coli i buteleczka z lekami.

Doktor Brooks otworzyła tę ostatnią i wysypała sześć tabletek na dłoń Langdona.

– To kofeina – wyjaśniła. – Używam jej podczas pracy na nocnym dyżurze, jak dzisiaj. – Robert wrzucił tabletki do ust i rozejrzał się za wodą. – Proszę je pogryźć – poradziła. – Dzięki temu zadziałają szybciej i pomogą zwalczyć wpływ środków uspokajających.

Langdon posłuchał i natychmiast się skrzywił. Pastyłki były gorzkie, z pewnością należało je połykać w całości. Doktor Brooks otworzyła lodówkę i podała mu na wpeł opróżnioną butelkę San Pellegrino. Z wdzięcznością pociągnął długi łyk.

Gospodyni ujęła go za prawe ramię, by zdjąć prowizoryczny opatrunek zrobiony z rękawa marynarki, którą odłożyła następnie na stół. Potem przyjrzała się uważnie ranie. Gdy przesuwiała palcami po gołej skórze, czuł, że drżą jej dłonie.

– Przeżyje pan – zawyrokowała w końcu.

Robert miał nadzieję, że i jej nic się nie stanie. On sam z trudem ogarniał to wszystko, co ich ostatnio spotkało.

– Pani doktor... – zaczął. – Powinniśmy gdzieś zadzwonić. Do konsulatu... albo na policję. Dokądkolwiek.

Skinęła głową na znak, że się zgadza.

– Tylko proszę nie mówić do mnie per pani doktor. Na imię mam Sienna.

Langdon skinął głową.

– Dobrze. A ja jestem Robert. – Fakt, że uratowała mu życie, usprawiedliwia natychmiastowe przejście na ty. – Mówiłaś, że jesteś Brytyjką?

– Tak. Tam się urodziłam.

– Nie mówisz z brytyjskim akcentem.

– Miło mi to słyszeć – odparła. – Sporo się napracowałam, by go stracić.

Langdon już miał podjąć temat, jednakże Sienna skinęła na niego, by poszedł za nią. Zaprowadziła go wąskim przedpokojem do maleńkiej tonącej w półmroku łazienki. W lustrze nad umywalką Robert dostrzegł swoje odbicie po raz pierwszy od chwili spojrzenia w okno izolatki.

Wyglądał strasznie. Gęste ciemne włosy miał skołtunione, a oczy podpuchnięte i zmęczone. Jego żuchwę porastała rzadka szczecina.

Sienna odkręciła kran i wsunęła zranione przedramię Langdona pod strumień lodowatej wody. Zabolało, ale wytrzymał, krzywiąc się tylko. Brooks wyjęła czystą szmatkę i nasączyła ją mydłem antybakteryjnym.

– Lepiej nie patrz.

– To nic, nie przeszkadza mi widok...

Sienna przetarła okolice rany zdecydowanym ruchem, powodując falę potwornego bólu. Robert musiał zacisnąć zęby, aby nie zawyc w proteście.

– Nie chcesz przecież, żeby wdała się infekcja – rzuciła, trąc jeszcze mocniej. – Poza tym skoro chcesz skontaktować się z władzami, musisz być przytomniejszy niż teraz. A nic tak nie otrzeźwia jak odrobina bólu.

Langdon wytrzymał jeszcze dziesięć pełnych sekund takiego traktowania, zanim wyrwał rękę z jej dłoni.

– Dość!

Musiał jednak przyznać, że czuje się lepiej i jest bardziej świadomy. Ból w ręce przyćmił nawet dolegliwości związane z głową.

– Świetnie – ucieszyła się, zakręcając kurek i osuszając mu rękę czystym ręcznikiem. Właśnie bandażowała ranę, gdy zdał sobie sprawę z czegoś, co właśnie zauważył i co bardzo go rozzłościło.

Od niemal czterdziestu lat nosił na nadgarstku kolekcjonerski zegarek, naprawdę rzadki okaz z kolekcji Myszkki Miki, otrzymany w prezencie jeszcze od rodziców. Uśmiech disnejowskiej postaci i jej machające ręce przypominały mu niezmiennie, że powinien częściej okazywać radość i w ogóle podchodzić do życia z większym przymrużeniem oka.

– Mój... zegarek – wydukał. – Nie ma go! – Poczul się jak nagi. – Czy miałem go na nadgarstku, gdy przyszedłem do szpitala?

Sienna obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, zapewne zastanawiając się, dlaczego martwi go akurat ten drobiazg.

– Nie pamiętam żadnego zegarka. Umyj się. Wrócę za kilka minut i wtedy wspólnie pomyślimy, jak ci pomóc. – Odwróciła się, by wyjść, ale przystanąła w progu i wpatrzywszy się w oczy jego odbicia w lustrze, dodała: – Lepiej się zastanów, kto mógłby chcieć twojej śmierci. Sądzę, że to będzie pierwsze pytanie, jakie zadadzą ci władze.

– Czekaj. Dokąd idziesz?

– Nie możesz rozmawiać z policją w szpitalnej koszuli. Znajdę ci jakieś ubranie. Mój sąsiad jest podobnej budowy. Wyjechał, a ja karmię jego kota. Jest mi coś winien.

Po tych słowach Sienna wyszła.

Robert raz jeszcze spojrzął w niewielkie lustro nad umywalką, z trudem poznając widoczne tam oblicze.

Ktoś pragnie mojej śmierci.

Znienacka usłyszał w myślach swoje niedawne słowa.

Ve... sorry. Ve... sorry. „Bardzo przepraszam”. Kogóż tak przepraszałem?...

Skupił się, by wydobyć z pamięci jakieś wspomnienie... cokolwiek. Ujrzał jedynie pustkę. Wiedział tylko, że obecnie przebywa we Florencji i poważnie ucierpiał z powodu postrzału w głowę.

Spoglądając w swoje podpuchnięte oczy, zamarzył o tym, by obudzić się we własnym fotelu do czytania z opróżnioną szklaneczką dzinu i egzemplarzem *Martwych dusz* w dłoniach. Dopiero po chwili sobie przypomniał, że nigdy nie mieszał Bombay Sapphire z twórczością Gogola.

Rozdział 7

Langdon zdjął szpitalną koszulę i owinał się w pasie czystym ręcznikiem. Po spryskaniu twarzy wodą ostrożnie dotknął szwów na potylicy. Miejsce było wciąż tkliwe, ale gdy przecesał palcami włosy, uszczerbek stał się prawie niewidoczny. Kofeinowe tabletki zaczynały już działać. Poczuł, że mgła wypełniająca jego umysł i przesłaniająca oczy powoli ustępuje.

Myśl, Robercie. Spróbuj sobie wszystko przypomnieć...

Pozbawiona okna łazieneczka nagle wydała mu się klaustrofobicznie ciasna, wyszedł więc do przedpokoju, kierując się instynktownie ku światłu bijącemu zza uchylonych drzwi w głębi mieszkania. Pomieszczenie, w którym się znalazł, wyglądało na gabinet. Oprócz stosów książek na podłodze było tam tanie biurko, zużyte obrotowe krzesło i – dzięki Bogu – okno.

Podszedł do niego.

Wstające właśnie słońce Toskanii zaczynało dopiero całować najwyższe punkty budzącego się miasta – kampanilę, wieżę Badia i pałac Bargello. Robert przyłożył czoło do chłodnej szyby. Marcowe powietrze było zimne i rześkie, wzmacniało pełne spektrum słonecznego blasku, który sączył się znad okolicznych wzgórz.

Idealne warunki dla artysty malarza.

W samym środku panoramy wznosiła się gigantyczna kopuła z czerwonych dachówek, jej szczyt zdobiła miedziana kula połyskująca niczym latarnia morska. *Il Duomo*. Brunelleschi dokonał kolejnego przełomu w architekturze, projektując tę niezwykłą kopułę na katedrze, która dzisiaj, niemal pięćset lat później, wciąż górowała nad piazza del Duomo.

Dlaczego trafiłem do Florencji?

Dla Langdona zakochanego od dawna we włoskiej sztuce Florencja była jednym z ulubionych europejskich miast. To na jej ulicach bawił się jako dziecko Michał Anioł i w tutejszych pracowniach rozpoczął się włoski renesans. To miejsce przyciągało miliony turystów, oferując im w galeriach *Narodziny Wenus* Botticellego, *Zwiastowanie* Leonarda i największą dumę miasta – *Il Davide*.

Langdon był oczarowany *Dawidem* Michała Anioła, gdy ujrzał go po raz pierwszy, będąc jeszcze nastolatkiem. Wszedł do Accademia delle Belle Arti... minął wolnym krokiem

posępną grupę surowych *Prigioni* Buonarottiego... i poczuł, że jego wzrok kieruje się bezwiednie w górę, ku mierzącemu prawie cztery i pół metra arcydziełu dłuta. Ogrom *Dawida* i jego idealna muskulatura zadziwiały niemal wszystkich, którzy wstępowali w te progi, jednakże Langdona urzekła przede wszystkim genialna poza posągu. Michał Anioł użył klasycznego *contrapposto*, aby stworzyć iluzję, że Dawid pochyla się na prawo, widząc odnosił więc wrażenie, że na jego lewej nodze nie spoczywa żaden ciężar, mimo iż właśnie ona podtrzymywała kilkutonową bryłę marmuru.

Dzięki *Dawidowi* Langdon docenił moc mistrzowskiej rzeźby. Stojąc teraz przy oknie, zastanawiał się, czy ostatnio znów podziwiał to arcydzieło, lecz w pamięci miał jedynie obrazy towarzyszące momentowi przebudzenia w szpitalu i zamordowania na jego oczach lekarza. Po raz kolejny doznał dojmującego poczucia winy.

Ve... sorry. „Bardzo przepraszam”... Co ja takiego zrobiłem?

Nagle dostrzegł kątem oka odbicie światła od ekranu laptopa pozostawionego na blacie biurka. I pomyślał, że cokolwiek mu się przydarzyło, musiało trafić do wczorajszych wiadomości.

Z Internetu dowiem się wszystkiego!

Odwrócił się do drzwi i zawołał:

– Sienna?

Odpowiedziała mu cisza. Uznał, że doktor Brooks nadal przebywa w mieszkaniu sąsiada, szukając ubrań dla niego.

Po chwili wahania otworzył jej laptop, doszedłszy do wniosku, że kobieta nie będzie mieć do niego pretensji o to drobne naruszenie prywatności.

Zobaczył ekran startowy – standardowy obrazek z chmurami. Natychmiast przeszedł na stronę Google i wpisał w wyszukiwarkę: Robert Langdon.

Gdyby tak moi studenci widzieli mnie teraz, pomyślał, czekając na wyświetlenie wyników. Potępiał ich nieustannie za wyszukiwanie informacji na własny temat – było to nowe, dziwaczne hobby młodego pokolenia Amerykanów świadczące o rodzącej się obsesji na punkcie sławy.

W końcu pojawiła się strona z wynikami – na liście były setki trafień odnoszących się do Langdona, jego książek i wykładów.

Nie tego szukałem.

Ograniczył pole poszukiwań do najświeższych wiadomości.

Pojawiła się nowa strona.

Lista miała jeszcze kilka stron, ale nie znalazł na niej niczego z ostatnich dni, a zwłaszcza informacji, które pozwoliłyby zrozumieć jego aktualne położenie.

Co się wydarzyło minionej nocy?

Szukał dalej, wchodząc na stronę „The Florentine”, anglojęzycznej gazety ukazującej się we Florencji. Przejrzał nagłówki, aktualności oraz kronikę policyjną, lecz znalazł jedynie informacje o pożarze mieszkania, aferze korupcyjnej w rządzie i kilku pomniejszych przestępstwach.

Nie ma o mnie żadnej wzmianki?!

Zatrzymał się na moment przy wiadomości dotyczącej polityka, który zmarł minionej nocy na atak serca przed katedrą. Jego nazwiska nie ujawniono do tej pory, ale nie podejrzewano udziału osób trzecich.

Nie mając pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić, Langdon wszedł na swoje konto pocztowe na Harvardzie i sprawdził ostatnie wiadomości, mając nadzieję, że znajdzie w nich odpowiedzi choć na część pytań. Znalazł wyłącznie e-maile od kolegów po fachu, studentów i znajomych, w większości dotyczące spotkań na kolejny tydzień.

Wygląda na to, że nikt nawet nie zauważył mojego zniknięcia.

Czując jeszcze większą niepewność niż przed paroma chwilami, wyłączył komputer i zamknął jego pokrywę. Już miał wyjść z gabinetu, gdy coś zwróciło jego uwagę. W rogu biurka Sienny na stosie czasopism medycznych leżało zdjęcie z polaroidu ukazujące jego zbawczynię i brodatego lekarza stojących razem na szpitalnym korytarzu. Oboje wyglądali na rozbawionych.

Doktor Marconi, przypomniał sobie Robert z ukłuciem winy, sięgając po fotografię, by ją lepiej obejrzeć.

Gdy odkładał zdjęcie na miejsce, ze zdumieniem zauważył na szczycie stosu żółtą ulotkę – mocno podniszczoną reklamę londyńskiego teatru Globe. Jeśli wierzyć napisom, zachwalała ona przedstawienie *Sen nocy letniej* Szekspira... sprzed niemal dwudziestu pięciu lat.

Na jej skraju ktoś nakreślił kilka słów pisakiem: SKARBIE, NIE ZAPOMINAJ, ŻE JESTEŚ CUDEM.

Kiedy Langdon podniósł ulotkę, z wnętrza posypały się wycinki prasowe. Chciał je szybko odłożyć na miejsce, ale jak tylko rozłożył ulotkę, zmarł.

Spoglądał na zdjęcie dziecięcej gwiazdy odgrywającej rolę psotnego duszka Puka. Fotografia przedstawiała pięcioletnią jasnowłosą dziewczynkę uczesaną w znajomy kucyk.

Napis pod zdjęciem głosił: NARODZINY GWIAZDY.

Biogram sugerował, że Sienna Brooks jest cudownym dzieckiem brytyjskiej sceny, a w dodatku może się poszczycić nieprzeciętną inteligencją, potrafi zapamiętać wszystkie dialogi w ciągu zaledwie jednego wieczoru, a podczas prób może zastąpić wszystkich kolegów z zespołu. Spośród jej zainteresowań wymieniono grę na skrzypcach, szachy, biologię i chemię. Sienna była dzieckiem bogatej pary z Blackheath leżącego na przedmieściach Londynu. Już jako czterolatka stała się bardzo znana w kręgach naukowych stolicy – nie dość, że pokonała jednego z bardziej utytułowanych arcymistrzów, to jeszcze czytała w trzech językach.

Mój Boże, pomyślał Langdon. To by wyjaśniało kilka spraw.

Przypomniał sobie, że jednym z najbardziej znanych absolwentów Uniwersytetu Harvarda był Saul Kripke, który wcześniej sam nauczył się hebrajskiego w wieku zaledwie sześciu lat i przeczytał wszystkie dzieła Kartezjusza przed dwunastymi urodzinami. Niedawno Robert czytał także o innym młodocianym geniuszu. Moshe Kai Cavalin ukończył college w wieku lat jedenastu, uzyskując średnią 4.0, i zdobył tytuł mistrza kraju w sztukach walki, a trzy lata później opublikował swoją książkę zatytułowaną *We Can Do*.

Langdon spojrział na inny wycinek ze zdjęciem Sienny w wieku siedmiu lat, podpisanym: CUDOWNE DZIECKO O IQ 208.

Nawet nie wiedział, że skala ilorazu inteligencji sięga tak wysoko. Jeśli wierzyć artykułowi, siedmioletnia Sienna była wybitną skrzypaczką, potrafiła opanować nowy język w ciągu miesiąca i uczyła się samodzielnie anatomii i fizjologii człowieka.

Spojrział na kolejny wycinek, tym razem pochodzący z czasopisma medycznego, głoszący PRZYSZŁOŚĆ MYŚLI: NIE WSZYSCY LUDZIE RODZĄ SIĘ RÓWNIIE INTELIGENTNI.

W artykule umieszczono zdjęcie Sienny, może dziesięcioletniej, stojącej obok jakiejś aparatury medycznej. Udzielający wywiadu lekarz wyjaśniał, że tomografia mózdku Sienny wykazała, iż różni się on budową od mózdków innych ludzi. W jej wypadku był to organ większy i doskonalszy, pozwalający na wykorzystanie niedostępne przeciętnemu człowiekowi. Lekarz ten wysunął przypuszczenie, że intelekt dziewczynki jest tak rozwinięty, ponieważ w jej mózgu dochodzi do przyspieszonego namnażania komórek przypominającego nieco nowotwór, lecz w przeciwieństwie do raka dotyczącego przydatnej szarej substancji.

Kolejny wycinek pochodził z jakiejś lokalnej gazetki. Tytuł brzmiał: PRZEKLEŃTWO GENIUSZU.

Tym razem nie było zdjęcia, jedynie opowieść o cudownym dziecku, Siennie Brooks, która próbowała uczęszczać do zwykłej szkoły, ale była wykpiwana przez innych uczniów

z powodu widocznej odmienności. Artykuł traktował o samotności utalentowanych dzieci, które nie radzą sobie w życiu codziennym tak dobrze jak w nauce, przez co często podlegają ostracyzmowi.

Sienna, jeśli wierzyć temu tekstowi, uciekła z domu, gdy miała osiem lat. Wykazała się przy tym takim sprytem, że znaleziono ją dopiero po dziesięciu dniach. Trafiono na nią w ekskluzywnym londyńskim hotelu, gdzie wyłudziła klucz, podając się za córkę jednego z gości, i zamawiała posiłki do pokoju na rachunek innych ludzi. Wyglądało na to, że spędziła tam weekend, czytając tysiąc sześćsetstronicową *Anatomie Graya*. Gdy policjanci zapytali ją, dlaczego wybrała akurat tę pozycję, odparła, że chciała zrozumieć, co jest nie tak z jej mózgiem.

Langdona ogarnęło współczucie. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak samotne musi być takie dziecko. Poskładał szybko wycinki, zatrzymując się jeszcze na moment przy fotografii pięcioletniej Sienny ucharakteryzowanej na Puka. Zważywszy na surrealistyczne okoliczności ich porannego spotkania, musiał przyznać, że pasuje ona idealnie do roli psotnego, sprowadzającego sny duszka. Marzył teraz tylko o tym, by wzorem bohaterów sztuki Szekspira mógł się przebudzić i uznać, że ostatnie wydarzenia były sennym koszmarem.

Odłożył wszystkie wycinki na miejsce, po czym zamknąwszy ulotkę, poczuł dziwną melancholię, gdy raz jeszcze spojrzął na napis zdobiący okładkę: SKARBIE, NIE ZAPOMINAJ, ŻE JESTEŚ CUDEM.

Przeniósł wzrok na znajomy symbol zdobiący żółty papier. Był to ten sam grecki piktogram, który można znaleźć na większości ulotek teatralnych na świecie – liczący dwa i pół tysiąca lat synonim teatru.

Le maschere.



Langdon wbił wzrok w patrzące na niego ikoniczne maski Komedii i Tragedii i nagle

usłyszał brzęczenie w uszach – zupełnie jakby ktoś poruszył umocowaną tam strunę. Moment później poczuł potworny ból głowy. Maski tańczyły jak oszalałe przed jego oczyma. Z jękiem uniósł dłonie i natychmiast przysiadł na krześle, zaciskając powieki i przykładając palce do skroni.

W mroku, który go ogarnął, znów pojawiły się wizje... silne i tak żywe.

Siwowłosa kobieta z amuletem znów go przyzywała zza rzeki krwi. Jej desperackie krzyki przeszywały cuchnące powietrze, zagłuszając jęki konających i torturowanych ciał, które rzucały się w agonii jak okiem sięgnąć. Langdon ponownie ujrzał odwrócone nogi z literą R, gdy na wpół zagrzebany człowiek jął młócić nimi desperacko powietrze.

Szukaj, a znajdziesz! – krzyczała do niego kobieta. – *Czasu jest coraz mniej!*

Langdon poczuł po raz kolejny nieprzepartą chęć niesienia jej pomocy... jej i wszystkim innym cierpiącym.

Kim jesteś?! – zawołał rozgorączkowany.

Kobieta raz jeszcze sięgnęła do welonu, by ukazać mu urzekające oblicze, które widział już wcześniej.

Jestem życie, odparła.

Nagle na niebie ponad nią zmaterializował się ogromny obiekt – straszliwa maska z długim, niby-ptasim dziobem w miejscu nosa i gorejącymi zielonymi oczyma, które spoglądały prosto na Langdona.

A ja jestem... śmierć – zagrzemiał jej głos.

Rozdział 8

Langdon otworzył oczy i wstrzymał oddech. Wciąż siedział przy biurku Sienny, trzymając się rękoma za głowę. Serce waliło mu jak oszalałe.

Co się ze mną u licha dzieje?

Nieprzerwanie miał przed oczyma obrazy siwowłosej kobiety i złowieszczej maski. *Jestem życie. Jestem śmierć.* Próbował się otrząsnąć z tej wizji, lecz ona za nic nie chciała zniknąć. Dwie maski z ulotki spoglądały na niego pusto.

„Wspomnienia pozostaną zamazane i chaotyczne”, powiedziała mu Sienna. „Przeszłość, teraźniejszość i wyobrażenia będą mieszały się ze sobą”.

Langdon poczuł zawroty głowy.

Gdzieś w głębi mieszkania zadzwonił telefon. Było to przeszywające, staromodne dzwonienie, dochodzące chyba od strony kuchni.

– Sienna?! – zawołał Robert, wstając.

Żadnej odpowiedzi. Doktor Brooks jeszcze nie wróciła. Po kolejnych dwóch sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

– *Ciao, sono io* – wesoły głos Sienny popłynął z głośniczka. – *Lasciatemi un messaggio e vi richiamerò.*

Rozległo się piknięcie, a po nim jakaś spanikowana kobieta zaczęła nagrywać wiadomość, mówiąc z silnym wschodnioeuropejskim akcentem. Jej głos odbijał się echem od ścian przedpokoju.

– Sienna, tu Danikova! Gdzie ty? Tu strasznie! Twój przyjaciel, doktor Marconi, on zabity! Szpital szaleje! Policja jest! Ludzie mówić im, że ty uciekła, ratując jakiś pacjent! Dlaczego?! Ty nie znasz go! Policja chce mówić do ciebie! Zabrała twoje akta! Ja wiem, informacja tam nieprawdziwa, zły adres, bez numerów, fałszywa wiza. Nie znajdują cię dzisiaj, ale niedługo na pewno! Próbuję ostrzec. Tak mi przykro, Sienna.

Na tym połączenie się zakończyło.

Langdon poczuł kolejną falę wyrzutów sumienia. Już wcześniej się domyślił, że doktor Marconi załatwił Siennie pracę w szpitalu. Pojawienie się Roberta kosztowało go życie, a impuls, który kazał Siennie ratować pacjenta, i ją może w przyszłości drogo kosztować.

W tym momencie usłyszał głośne trzaśnięcie drzwi w głębi mieszkania.

Doktor Brooks wróciła.

Chwilę później ożyła automatyczna sekretarka.

– Sienna, tu Danikova! Gdzie ty?...

Langdon skrzywił się, wiedząc, co lekarka zaraz usłyszy. Gdy odsłuchiwała nagranie, szybko odłożył na miejsce ulotkę i posprzątał na biurku. Potem przemknął się do łazienki, czując wstyd z powodu grzebania w przeszłości swojej gospodyni.

Dziesięć sekund później ktoś zastukał cicho do drzwi.

– Zostawiam ci rzeczy na klamce – powiedziała Sienna głosem drżącym ze zdenerwowania.

– Bardzo ci dziękuję – odparł Langdon.

– Jak się ubierzesz, przyjdź, proszę, do kuchni – dodała. – Muszę ci coś pokazać, zanim gdziekolwiek zadzwonimy.

Sienna przeszła ciężkim krokiem do skromnej sypialni. Wyjęła z komody parę dzinsów i sweter, a potem zaniósła je do drugiej łazienki.

Spoglądając na własne odbicie w lustrze, uniosła dłoń i pociągnęła mocno za blond kucyk, by ściągnąć z głowy perukę.

Z lustra patrzyła teraz na nią łysa trzydziestodwuletnia kobieta.

Nie brakowało jej w życiu wyzwań, ale choć nauczyła się polegać na własnym intelekcie i przewycięzać kolejne przeszkody, ostatnie wydarzenia wytrąciły ją z równowagi.

Umyła ręce i twarz, zmieniła ubranie i ponownie przywdziała perukę, naciągając ją starannie. Nieczęsto użalała się nad sobą, lecz tym razem gdy łzy napłynęły jej do oczu, wiedziała, że nie zdoła ich powstrzymać.

Zapłakała nad życiem, którego nie umiała kontrolować.

Zapłakała nad mentorem, którego zabito na jej oczach.

Zapłakała nad własną samotnością, która przepełniała jej serce.

Nade wszystko jednak płakała z powodu przyszłości, która nagle stała się tak niepewna.

Rozdział 9

Przebywający na dolnym pokładzie luksusowego jachtu facylitator Laurence Knowlton siedział w swoim szklanym boksie, z niedowierzaniem spoglądając na ekran komputera, z którego przed momentem zniknęło nagranie przekazane Konsorcjum przez ostatniego klienta.

I ja mam przesłać coś takiego mediom?

W ciągu dziesięciu lat pracy dla Konsorcjum wykonał wiele dziwacznych zadań, które były albo niegodne, albo nielegalne. Działanie w szarej strefie moralności było chlebem powszednim dla jego firmy – organizacji, której etyka opierała się na tylko jednym filarze, a było nim zadowolenie klienta za wszelką cenę.

Robimy, co każą. Nie zadajemy pytań. Pod żadnym pozorem.

Mimo to Knowlton czuł niepokój na myśl o przekazaniu nagrania mediom. Dotychczas bez względu na stopień dziwaczności zleczanych mu zadań zawsze rozumiał, o co chodzi zleceniodawcy... pojmował jego motywy... wiedział, co chce osiągnąć.

Ten przekaz był inny.

Coś mu w nim nie pasowało.

I to bardzo.

Raz jeszcze włączył nagranie, mając nadzieję, że kolejne wyświetlenie rzuci nieco więcej światła na sprawę. Podkreślił głośność i usiadł wygodniej, by obejrzeć dziewięciominutową prezentację.

Kamera, tak jak poprzednio, zanurkowała pod powierzchnię dziwaczego podziemnego jeziora zajmującego dolną część jaskini skąpanej w czerwonawej poświacie. Raz jeszcze pogrążyła się w lśniącej toni, by pokazać pokryte mułem dno jaskini. I znów Knowlton mógł przeczytać treść wyrytą na zatopionej tabliczce.

TUTAJ

ŚWIAT ZMIENIŁ SIĘ NA ZAWSZE

Niepokojące było to, że pod inskrypcją znajdował się podpis klienta Konsorcjum. No i ta jutrzejsza data... Na jej widok Knowlton poczuł się jeszcze gorzej. Ale dopiero następane ujęcia doprowadziły jego umysł na skraj paniki.

Ciąg dalszy w wersji pełnej

Rozdział 10

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 11

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 12

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 13

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 14

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 15

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 16

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 17

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 18

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 19

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 20

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 21

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 22

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 23

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 24

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 25

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 26

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 27

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 28

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 29

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 30

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 31

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 32

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 33

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 34

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 35

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 36

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 37

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 38

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 39

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 40

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 41

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 42

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 43

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 44

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 45

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 46

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 47

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 48

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 49

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 50

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 51

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 52

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 53

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 54

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 55

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 56

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 57

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 58

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 59

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 60

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 61

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 62

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 63

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 64

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 65

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 66

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 67

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 68

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 69

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 70

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 71

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 72

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 73

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 74

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 75

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 76

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 77

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 78

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 79

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 80

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 81

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 82

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 83

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 84

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 85

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 86

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 87

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 88

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 89

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 90

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 91

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 92

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 93

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 94

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 95

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 96

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 97

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 98

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 99

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 100

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 101

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 102

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 103

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 104

Dostępne w wersji pełnej

Epilog

Dostępne w wersji pełnej

Inferno

Spis treści

Tego autora

Podziękowania

Tytuł oryginału: INFERNO
Copyright © Dan Brown 2013

Copyright © 2013 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2013 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Fragmenty *Boskiej komedii* Dantego Alighieri w przekładzie Edwarda Porębowicza,
Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2009.

Wyimek z *Rozważań nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza* w przekładzie
Krzysztofa Żaboklickiego, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009.

Cytat z *Prawa ludności* T. R. Malthusa, tłum. K. Stein, Gebethner i Wolff, Warszawa-Kraków 1925.

Urywek *Odysei* Homera w przekładzie Lucjana Siemieńskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich,
Wrocław-Kraków 1992.

Cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie
z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich,
Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2008.

Ilustracje na okładce: Bread and Butter/Getty Images/Flash Press Media
i Imagno/Getty Images/Flash Press Media.

Projekt graficzny frontu okładki: Micheal J. Windsor/Doubleday Books.

Wykonanie okładki: Dt Studio s.c.

Graph „Special Report: How Our Economy is Killing the Earth” (New Scientist, 10/16/08)

Copyright © Reed Business Information – UK. All rights reserved.
Distributed by Tribune Media Services.

Redakcja: Urszula Gardner
Korekta: Aneta Iwan, Mariusz Kulan
Konsultacja historyka sztuki: dr Dorota Głazek

ISBN: 978-83-7508-852-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

pl. Grunwaldzki 8-10; 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2013



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

autor

KODU LEONARDA DA VINCI

DAN
BROWN



INFERNO



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).